

Łukasz Libowski

A Słowo ciałem się stało...

Trzy narracje bożonarodzeniowe
ku pokrzepieniu serc krześcijańskich uprzedzone

Kędzierzyn-Koźle 2019

Teksty prezentowane w niniejszym tomiku powstały na zamówienie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kędzierzynie-Koźlu i przeznaczone są do odczytania w czasie organizowanego przez tę bibliotekę 3 stycznia 2019 roku w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Kędzierzynie-Koźlu koncertu kolędowego.

Notabilia

Nie bez przejęcia puszczam w obieg czytelniczy skromne dziełko niniejsze, dziełko trzyczęściowe, rzecz przeto można: tryptyk niniejszy; tak, używam tu słowa „dziełko”, choć, prawdę powiedziawszy, myślę, że bardzo to, i to w najlepszym tylko razie, na wyrost: mam jednakowoż nadzieję, że użycie słowa onego, pretensjonalnego przecież nieco, będzie mi przez czytelnika wyrozumiałego — za tę wielkoduszną wyrozumiałość czytelnikowi swojemu bardzo jestem zobowiązany — darowane.

Przejęcie bierze się u mnie, jak sędzę, stąd przede wszystkim, że nie lubię rozstawać się ze swoimi tekstami; nie lubię zaś rozstawać się ze swoimi tekstami dlatego, że zawsze widzę w nich — zaiste, męczące to okrutnie, ale, z drugiej strony, cóż na to poradzić: różne bywają natręctwa, obsesje — coś do przeróbki, coś do poprawy i że trudno mi decydować, czy dana ich wersja może, czy powinna być ich już wersją finalną, ostatnią. Jeśli tedy z niżej zamieszczonymi opowiadania, jako ich autor, rozstaję się, to z tej tylko racji, iż termin ich publikacji, ich wykończenia, termin przeze mnie zadeklarowany, termin przyrzeczony przeze mnie i ślubowany, mnie nagli.

Po wtóre, przejęty jestem, oddając w ręce czytelników tomik niniejszy, z tego względu, że pierwszy raz w życiu, jeśli nie liczyć, o jakże dalece naiwnej i dlatego też swoiście urzekającej, pięknej, beletrystycznej twórczości mojej tak dziecięcej, jak młodzieńczej, napisałem, powiedzieć winieniem raczej:

napisać próbowałem, literaturę piękną: och, proszę mi wierzyć, trudne to zadanie! Bez zaproszenia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kędzierzynie-Koźli uczynić bym się tego w obecnym czasie, w obecnym moim stanie, przy obecnej kondycji mojej duchowej i intelektualnej, przyznaję najszybciej, chyba nie poważyl; dodać w tym miejscu pragnę, iż kędzierzyńsko-kozielska biblioteka zamówiła u mnie takie trzy bożonarodzeniowe narracje, które nadałyby się do odczytania podczas koncertu kolędowego, co przy sporządzaniu czy, jak głosi podtytuł tryptyku niniejszego, przedzeniu narracji tychże stale starałem się mieć na pamięci.

I rzecz trzecia jeszcze, która, gwoli uczciwości, jakiejś autorskiej względem odbiorcy lojalności, wierności, jawi mi się jako godna tutaj odnotowania: przejęty jestem w chwili tej uroczystej, kiedy opus swoje składam na miejsce jego właściwe, na miejsce jemu należne, jemu naznaczone, bo owoc mojej pracy zdaje mi się, w dniu dzisiejszym przynajmniej, niezmiernie marny, zatrwajająco, żenująco marny; nic na to nie poradzę, tak właśnie, po raz kolejny w swoim życiu, nie pomnę już który, czuję: swoim pisaniem w popołudnie dzisiejsze wielcem rozczarowany.

Opole, 2 stycznia 2019 roku

Gathaspar

Przepędziwszy przy biurku całe bez mała późne popołudnie i wieczór cały, wyszedł teraz Gathaspar, teraz, kiedy na dobre zapadła już noc i kiedy wszyscy wokóło najpewniej posnęli, teraz, kiedy był już zmęczony, znużony ślęczeniem nad księgami, na przylegający do komnaty, w której zwykł był od wielu już lat każdego prawie dnia pracować, ogromny taras: wyszedł, by się odprężyć, by zaczerpnąć świeżego, ożywczego powietrza, by rozprostować zastygłe kości, wyszedł, by podumać. Ach, jakże lubił Gathaspar te chwile wytchnienia: a i owszem, lubił pracować, ale lubił także, może nawet dużo bardziej niż pracować, porzucać swoje zajęcia dla krótkich, lecz błogich chwil odpoczynienia; przypuszczał, że działo się tak być może dlatego, że przy pracy był dla siebie bardzo, kto wie, za bardzo może, wymagający, surowy.

Noc, jaką Gathaspar obaczył, kiedy stanął na zewnątrz i kiedy, oparłszy się o balustradę, rozejrzał się dookoła, uznał za nadzwyczaj piękną. Ba, wydała mu się owa noc jedną z najpiękniejszych nocy, jakie widział, jakie przeżył, jedną z najpiękniejszych nocy, jakich w swoim, musiał przyznać, niekrótkim już, bo nieomalże pięćdziesięcioletnim życiu doświadczył; a jako astrolog przeżył czy, by tak rzec, doświadczył nocy niemało, nocy rozmaitych, mrocznych i złowieszczych, noc nijakich, nocy pogodnych wreszcie i nadzieją tchnących; mało kto wiedział tak dobrze jak on, iż noc ma — podobnie jak każdy człowiek? — wiele różnych twarzy. Z uwagą przyglądał się Gathaspar tej nocy, którą oglądał i którą oddychał, najpierw spoglądając powoli w dół, na zabudowania,

na miasto, którego nigdy dotąd nie opuścił, które było dotychczas całym jego światem i w którym czuł się tak dobrze, tak bezpiecznie, a potem w górę, na sklepienie niebieskie, na swój ukochany złotem haftowany firmament, o którym umiałby tyle powiedzieć. Gdyby w tej właśnie chwili przyszło wyjaśnić Gathasparowi, dlaczego to noc dzisiejsza zdaje mu się jedną z owych nocy w całym jego życiu piękniejszych, nie bardzo potrafił by to uczynić. Wszelako noc ta pod wieloma względami była taka, jak wiele innych: cicha i spokojna, bezchmurna, jasna, miriadami gwiazd ustrojona i księżycem ozdobiona barwy miodu. Tym, co w nocy tej było nadzwyczajnego i co czyniło ją w przekonaniu Gathaspara jedną z nocy piękniejszych, było to — jakże rzecz to efemeryczna, subtelna i jakże osobista, subiektywna! — w jaki sposób wpływała ona na Gathaspara, jak oddziaływała ona na Gathaspara. Albowiem napelniała go ona lekkością, radością, pokojem: wszystkim tym, czego bardzo w swym życiu pragnął, a co tak trudno mu przychodziło, co tak trudno osiągać mu było.

Gathaspar oddychał głęboko, oddychał równomiernie, miarowo, głośno zaciągając w swe płuca, do tej pory napelniane mimo wszystko jednak przyciężkim, dusznawym powietrzem wnętrza, w którym przebywał, powietrze rzeńskie. Zdawało mu się, że czuje dokładnie, jak powietrze to przedostaje się do wnętrza jego ciała, jak dociera do płuc jego i jak stopniowo otrzeźwia zmęczony, przywiedły jego organizm. Ponieważ bolały go plecy, wyciągnął się. Wyciągnięty, chłonał noc wszystkimi swoimi zmysłami, chłonał noc, która przed nim i nad nim, która wszędzie wokół niego się rozpościerała, całym swoim duchem. Pozwolił swoim myślom biec swobodnie, uwolnił je z reżimu ścisłości i precyzji, w którym to reżimie trzymał je podczas pracy; niezmiernie cieszył go ów moment puszczenia swoim myślom cugli, wiedział bowiem, że wiele od swoich myśli może się dowiedzieć, że wiele swoich tajemnic może w ten sposób odkryć. I nie był ani trochę zaskoczony, nie zdziwił się ani trochę sprawą, jaką zrazu oplotły myśli jego. Była to sprawa żydowskich prorocत्व, sprawa rodzaju ludzkiego, ludzkości całej czekania na mesjasza, który ma zaprowadzić nowy na świecie ład, porządek nowy. Tyle lat przecie rzeczy tej poświęcił, a do niczego

nie doszedł, do niczego dojść nie mógł. Pomyślał, że może już więcej do kwestii nie wróci; bo i po cóż? Skoro do tej pory nic nie wskórał, to czy cokolwiek wskórać jeszcze zdola? I ucieszył się Gathaspar. Ucieszył się, bo podjął decyzję, a nie lubił tego robić: nie lubił decydować. Do prorocत्व me-sjańskich już nie wróci, nie, nie wróci. Czuł się przegrany, czuł, że sprawa prorocत्व go przerosła; uczuł się głupcem, miernotą, uczuł, że ma umysł jak nikt we wszechświecie całym ogromnym ograniczony.

Wtem stało się z Gathasparem coś, co nigdy dotąd mu się jeszcze nie przytrafiło: począł bytować jakby w innym wymiarze, przeszedł niejako w inny stan istnienia, jakoby zanurzył, zatopił się w głębszej, w wewnętrznej warstwie rzeczywistości; pozostał tu, ale jednocześnie był tam, gdzieś, hen, daleko, w, rzecz można, zaświatach; był, a jakoby go nie było. Wszystko dlań znieruchomiał, zastygło, zamarło, a wraz ze wszystkim znieruchomiał, zastygł, zamarł i on sam; stało się to w jednym momencie, w oka mgnieniu, zupełnie niespodzianie: szybko i nagle. I w takim osobliwym stanie, w zawieszeniu takim Gathaspar trwał: trwał nie żyjąc jakby i zarazem jakby intensywniej żyjąc, trwał jakby będąc wszystkim doskonale świadomym i zarazem jakby nie wiedząc zupełnie, co się dzieje, trwał, uważając, że ma nad wszystkim kontrolę i zarazem, że nad niczym kontroli nie ma, że wszystko wysliznęło mu się z rąk. Czuł nicość, pustkę, przepaść bezdenną, nieograniczoną przestrzeń i jednocześnie wielkie, ale to wielkie szczęście, czuł szczęście niewymowne. Był przekonany, że wszystko jest dobrze, że z nim wszystko jest dobrze, że dobrze jest wszystko z całym światem, z wszechświatem całym, ze wszystkim, co istnieje. Wszystko rozumiał, na wszystko się godził, wszystko miało dlań urok, wszystko było dlań piękne. Był jakby jednym wielkim „tak” powiedzianym życiu, sobie, światu. Trwał w ten sposób Gathaspar. I było mu dobrze.

Kiedy się ocknął, nie umiał powiedzieć, jak długo tak trwał. Wydawało mu się, że trwało to długo i krótko zarazem. Nie wiedział też, czy stało się to w nim tylko, w umyśle, w duszy, we wnętrzu jego, czy też w świecie, ze światem.

Ale to było koniec końców dlań nie ważne. Jedno wiedział teraz na pewno: że coś wie. Nie wiedział jeszcze, co, z całą aczkolwiek pewnością wiedział, że coś nowego wie. Schodząc z tarasu, był Gathaspar przekonany, iż noc, jaka spowijała świat, była cudowna, iż noc ta była łaskawa, iż noc ta ofiarowała, dała mu wielki dar. Pomyślał, że wróci jeszcze do przepowiedni. Poczul, że nie może ich teraz zostawić.

Adalbert

Jał właśnie Adalbert wsłuchiwać się w dobrze znane mu, opowiadające o Bożym Narodzeniu, słowa ewangelii Łukaszowej: słowa odczytywane wspaniałym, głębokim, a ciepłym, niezmiernie dla ucha jego przyjemnie brzmiącym basem przystojnego kleryka, a przy tym doskonale, przyznać musiał, przez owego kleryka, przystojnego i szykownie niezmiernie wygalantowanego, zinterpretowane; zdało się Adalbertowi, kiedy przypatrzył się czytającemu, że ów całkowicie świadom był absorbującej, zniewalającej mocy tak swej urody i elegancckiego swego ubioru, jak i lektorskiego swego talentu, kunsztu swego lektorskiego i że z zimną krwią, to jest, powiedzieć należy, przemyślnie, roztropnie, podług swojej woli, z mocy tej przemożnej, wielkiej, z mocy, którą dzierzył w swym ręku, uwodząc czy kokietując słuchaczy, korzystał, czym naprzód Adalbert z lekka się przeraził, co go natomiast po chwili nieco zafascynowało i czego koniec końców młodzieńcowi pozazdrościł. Słuchał więc Adalbert owych, jak szczerze wierzył i to wierzył od zawsze, a przynajmniej odtąd pamiętał, słów natchnionych, które znał niemalże na pamięć i które lubił, bardzo, ale to bardzo uważnie, słuchał słów tychże, aż rzecz by się chciało, pożądliwie, łapczywie, całą duszę swą miał teraz na słowa te rozwartą, szeroko rozwartą: w taki sposób słuchał słów tychże po raz pierwszy w życiu. Aż tym uważnym, łapczywym swoim słuchaniem, słuchaniem swoim skwapliwym, słuchaniem najserdeczniejszym, głębokim, szczerym, wielce był zdumiony, zaskoczony: nie wiedział bowiem, tak, dotąd bowiem nie wiedział, że tak słuchać umie; choć, owszem, przez myśl mu przemknęło, że być może to wcale nie on słucha teraz inaczej niż zwykle, inaczej niż zazwyczaj,

ale że to okazują na nim tym razem tajemną swą siłę ewangelijne słowa: acz jeśli tak, to czemu dopiero teraz, myślał sobie, to czemu, jako wierny, jako dobry chrześcijanin, tak długo na osobliwe, a fenomenalne objawienie to musiał czekać?

Przed chwilą, nim kleryk, zgodnie z przewidzianym programem uroczystości, odczytywać począł tekst święty, zakończył był Adalbert swoją roczną okolicznościową przemowę bożonarodzeniową. Zakończył był alokucję swoją z uczuciem zadowolenia, z uczuciem bardzo miłej mu, cokolwiek próżność jego lechtającej satysfakcji, z uczuciem niejakiej dumy: nie tyle może z powodu kształtu swojego wystąpienia — świadom był wszelako doskonale i, co istotniejsze, pogodzony był z tym w zupełności, że jest słabym raczej, by nie powiedzieć, że marnym, mówcą, choć długą, wieloletnia praktyka zrobiła już z nim w tym względzie swoje — co z uwagi na treść swego wywodu, z uwagi na to, o czym perorował. Bo tak się złożyło, że mówił, że wypadło mu mówić o tym, o czym mówić uwielbiał, o czym mówić kochał, mianowicie, biorąc rzecz najogólniej, o swojej uczelni sukcesach: o osiągnięciach swoich profesorów, o najlepszych ich książkach i tekstach, o ich awansach, nagrodach i wyróżnieniach, o osiągnięciach także studentów, o wygranych przez nich konkursach, o zakończonych, realizowanych na uczelni i w najbliższej przyszłości planowanych projektach badawczych i grantach, o wizytach swoich w ministerstwie, o rozmowach swych, dyskusjach i pertraktacjach z wielkimi tego świata, o rozmaitych gremiach, w jakich zasiada, a które decydują w tej czy owej dla politechniki ważkiej sprawie, o zamówieniach i zaproszeniach do współpracy, jakie na jego biurko z firm, przedsiębiorstw, korporacji rozmaitych spływają, o przeprowadzonych inwestycjach, modernizacjach, o pieniądzach, niemałych, ogromnych pieniądzach, jakimi obracał; długo było by tak wyliczać, niechże tyle tedy wymieniania tego starczy. Uwielbiał, kochał Adalbert o wszystkim tym, o sukcesach wszystkich uczelnianych, mówić, bo cieszył się tym bardzo i chciał, aby wraz z nim, jako że, jak wierzył, radość podzielona jest radością większą, radością pomnożoną, podwójną, cieszyła się tym społeczność cała akademicka, której przewodził, którą się troskliwie, jak mógł tylko najlepiej,

po ojcowsku opiekował. Cieszył się zaś wszystkim tym Adalbert, ponieważ niczym innym cieszyć się nie umiał, niczym innym cieszyć się nie mógł, ponieważ nie miał w swoim życiu niczego innego, czym by cieszyć się mógł, ot, taka smutna o nim prawda: bo praca była całym jego życiem, całym jego światem, bo praca była jego wszystkim; był starym kawalerem i niczego, niczego poza pracą, poza uczelnią nie miał, jego praca to był on, uczelnia, której rektorował, to był on, cały on, bez reszty on.

Lecz teraz Adalbert zawstydzil się, głęboko się zawstydzil, a z tego wstydu, myślał sobie, aż się chyba cały zarumienil. Bo im dluziej wsluchiwal się w przedstawiającą narodziny według ciała Bożego Syna narrację Łukaszową, tym bardziej pojmował, poczciwy, szlachetny, po prostu dobry nasz Adalbert, kochany, wrażliwy nasz Adalbert, tym dobitniej stawało się dlań jasne, jak bardzo to, o czym opowiada tekst biblijny, różni się od tego, o czym jeszcze przed chwilą on był z taką dumą, z taką w gruncie rzeczy nadętością, próżnością opowiadał, jak bardzo to, co opisuje ewangelia, różni się od tego, co składa się na żywot jego: toż to dwa, wnioskował, z przejęciem odkrywał, toż to dwa niewiele mające ze sobą wspólnego albo nic zgoła ze sobą wspólnego niemające światy! Jakież wstyd sromotny, jakże potwornie głupio mu było: boć on przecie chrześcijanin! Żeby tak rozminąć się z ewangelią — i, co gorsza, żeby tak rozminąć się z Bogiem!

Wzruszył się Adalbert, kiedy dotarło doń, co dotarło, wzruszył się głęboko: niepostrzeżenie spłynęło z oczu jego kilka małych łez. Drgnął, wszystek drgnął: drgnął jego umysł, drgnęło jego serce, cała dusza jego delikatna drgnęła. I uczył Adalbert, jak napelnia go pokój, szczęście: niewymowny, wielki pokój i niewymowne, wielkie szczęście. Oto stało się — w jego życiu, wreszcie — Boże Narodzenie.

Ildebrando

Nie bardzo Ildebrando wiedział, kiedy i jak wyszedł z gospody, i nie bardzo umiał wytłumaczyć, jak to się dzieje, że idzie, owszem, nie bez pewnych, powiedzmy eufemistyczne, komplikacji czy trudności, do domu: pijany był przecież jak bela. No ale w końcu, rozmyślał, ćwiczenie czyni mistrza, a on przecież, gdy o picie chodzi, ćwiczył niemało i to, przyznać trzeba, dość regularnie: w gospodzie bowiem — bo gdzieżby indziej: gdzie indziej i w inny sposób nie umiał, zresztą, gdzie indziej i w inny sposób nie próbował, nie chciał nawet próbować — świętował każdy swój sukces, w gospodzie bowiem godził się z każdą swoją porażką, w gospodzie odreagowywał bowiem wszystkie napięcia związane z pracą, a że pracę miał stresującą, która generowała w nim wiele napięć, to i często, rady na to nie było, ot, konieczność, wyższa, jak powiadał, siła tak chciała, odreagowywać musiał. Więc, widać, w powrotach na gazie wyćwiczył, wykształcił się już całkiem dobrze, a przynajmniej dostatecznie dobrze, na tyle dobrze, że nietrzeźwy bezpiecznie umiał do swego mieszkania wrócić; powiedzmy: przystosował się do warunków, w jakich, ze swojego wyboru, na własne życzenie, przepędzał żywot swój żaloszny. Uczuł z tego powodu, z tego mianowicie powodu, że, choć jest pijany, to wraca do swego domu na własnych nogach, o własnych siłach, niejaką dumę, bo lubił, najzwyczajniej bardzo lubił, i w tym objawiał się pierwiastek artystyczny, jaki w nim drzemał, jaki w nim tkwił, być w czymś lepszy od innych.

A potem zaraz odkrył drzemiący w sobie smutek, wielki smutek, całe morze, ocean cały niewyczerpany smutku. Nienawidził owego niesionego w sobie smutku, nie akceptował tego uczucia, które wypełniało, które, powiedzmy akuratniej chyba, przepelniało jego wnętrze, tłumił uczucie to w sobie, dbał o to, by szczelnie było ono w jego wnętrzu zamknięte. Ale raz po raz zdarzały się chwile, kiedy to uczucie jakimś cudem ze swego więzienia, z podziemia sobie przeznaczonego dobywało się, wydostawało i go ogarniało. Mówił wtedy, że jest we władaniu metafizyki. Lecz tak naprawdę bywał wtedy we władaniu smutku, władała nim wówczas melancholia. Och, jakże Ildebrando nie znosił melancholii! Chciał być gwiazdą, bohaterem, chciał zaistnieć w świecie, jeśli już nie w tym prawdziwie wielkim świecie, to przynajmniej w tym prowincjonalnym, lokalnym, małym wielkim świecie — o to bezustannie, bez wytchnienia walczył, o to jedno się starał — a gwiazdy przecież i ci, co cieszą się sławą, bynajmniej nie są melancholikami! Tak mu się przynajmniej zdawało.

Czemu się teraz smucił? Nie było żadnego szczególnego powodu obecnego jego smutku: smucił się z tej racji, co kiedy indziej, z tej racji, co zawsze, to jest z racji na życiową swą przegraną. W przyszłym roku miał skończyć lat czterdzieści. I wiedział, widział to wyraziście i jasno, że jest życiowym bankrutem. Kiedy szedł do akademii, myślał, a raczej rzecz by trzeba: marzył, roił sobie, o karierze wielkiego śpiewaka, zamierzał wtedy podbić cały świat. A co podbił? Nic nie podbił. Jaką zrobił karierę? Żadną. Śpiewał w jakimś podrzędnym teatrze, z ludźmi, którzy najlepiej, jego zdaniem, by zrobili, gdyby śpiewać przestali, którzy z wielką sztuką doprawdy niewiele mieli wspólnego, śpiewał jakieś piosenki, pioseneczki, a z rzadka tylko prawdziwą operę, którą śpiewać tak bardzo pragnął, musiał się dostosowywać do wskazówek, instrukcji, z którymi ani trochę się nie zgadzał; zaprzedał, po prostu zaprzedał, dawno już zaprzedał siebie. A w życiu prywatnym nie było lepiej. Dwie żony, z każdą dziecko, jedno małe, drugie już dorosłe, duże, dwa rozwody. Z pierwszą żoną musiał wziąć ślub, bo wpadli. Z drugą rozwiódł się w czasie prób do spektaklu: śpiewali próbę, w przerwie polecili do sądu na rozprawę i wrócili na próbę — a grali wtedy, jak na ironię,

zakochaną parę. O spotkanie z młodszym synkiem musiał ciągle walczyć, jego druga była żona ciągle go szantażowała, bez przerwy grała z nim jakąś dziwną grę, chciała najprawdopodobniej dostać od niego większe pieniądze. Z drugim synem, starszym, studentem, się nie dogadywał. Chłopak wyniósł się od niego z domu, jego ojciec dawał mu za niego pieniądze. Właśnie, był bez grosza przy duszy, a jeszcze z długami. Poza tym był alkoholikiem, wiedział o tym, nie mógł bez picia, pił na umór, ale nie chciał się leczyć: tylko mówił, że chce się leczyć, ale tak naprawdę, trudno było mu to przyznać nawet przed sobą samym i długo mu zajęło nim to uczynił, leczyć się nie chciał; bo i na cóż, po co? Uważał, że wszystko jest z nim w porządku: a jeśli nawet nie jest, to, mniemał sobie, nad wszystkim panuje, wszystko ma pod kontrolą; nad niczym nie panował i niczego nie miał pod kontrolą. No i rozwiązał był okrutnie. Teraz, dość będzie powiedzieć, próbował z młodszą o dziesięć lat od siebie dziewczyną, przyznać musiał, niełatwą; ta jej niełatwość bardzo mu się podobała, bardzo go podniecała. Ale właśnie się pokłócili i ona wyprowadziła się od niego.

Myślał: jutro — dziś! bo północ przecież dawno już wybiła — wigilia Bożego Narodzenia, będę sam, sam, samiusieńki. Nie miał ochoty jechać do rodziców, bo najzwyczajniej nie miał najmniejszej ochoty, ani siły, kolejny raz robić tego, na co nie miał ochoty, a na co ochotę mieli inni. Chciał być sobą. Chciał być smutny. Chciał być nieszczęśliwy. Tego dnia, w Boże Narodzenie. Po raz pierwszy chyba zapragnął spojrzeć prawdzie, sobie spojrzeć w twarz.

Boże Narodzenie! Myśl o świętach zmieniła przedmiot jego refleksji. Bóg — dawno już chyba o nim zapomniał, myślał sobie. Ale dlaczego miałby o nim pamiętać? Też przecież on o Bogu nie pamiętał. Wcale. I to od dawna. Nie, nie żył dla Boga. Wiedział to na pewno. Dla kogo, dla czego żył? Kiedyś dla siebie, dla kariery, dla pieniędzy. Teraz jeszcze chyba też, chociaż może mniej niż dawniej. Życie odarło go już z ideałów, z rojeń jego młodzieńczych, z głupich jego marzeń. Dla kogo, dla czego żył? Jedna odpowiedź przychodziła mu do głowy na takie pytanie: piękno. Wyznawał kult piękna, religię piękna. Tak, przez piękno chciał się zbawić, chciał się

zbawić dzięki pięknu, za pomocą piękna. Kochał piękno. Ono jedno go podniecało, ono jedno go elektryzowało, głęboko przejmowało. Wiedział, co to jest piękny śpiew, choć nie przepadał za określaniem śpiewu przymiotnikiem „piękny”, zdecydowanie bardziej odpowiadało mu określenie „dobry” — dobry śpiew, dobry śpiewak, dobry dźwięk, dobre śpiewanie, a przez „dobry” rozumiał dobrą technikę śpiewu, śpiew dobrze zrobiony, dobrze wyprodukowany. Naprawdę kochał piękno, nie piękno jako takie, ale piękno muzyki, piękno śpiewu. Znał się na pięknie, pięknie śpiewu, wiedział, jak je tworzyć. Był mistrzem techniki. Dużo go to kosztowało, ale technikę w końcu opanował. Pomogła mu w tym intuicja śpiewacza, paru ludzi, świetnych śpiewaków, których w swoim życiu spotkał, których podglądał, których naśladował. Pomagał śpiewać innym, jeśli tylko chcieli sobie dać pomoc, trochę śpiewu uczył, choć, jak dotąd, bez większych sukcesów. Tak, dla piękna Ildebrando teraz żył. O piękno był w stanie zawalczyć. W teatrze, gdzie widział, jak śpiewają niektórzy jego koledzy i jakie mają podejście do sprawy, szlag go trafiał. Klócił się z nimi, klócił się z pianistami, z dyrygentami. Klócił się o jedno tylko i zawsze to samo: o piękno. Tak, żył dla piękna, tylko dla piękna.

Usłyszał kiedyś, nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach i od kogo, że piękno zbawia, że piękno może zbawić. I począł się zastanawiać, czy jemu, czy w jego przypadku piękno wystarczy. Bo chciał być zbawiony, z całego przegranego swojego serca chciał być zbawiony. Ale świadomy był, że jeśli piękno go nie zbawi, to nic go nie zbawi, bo dla żadnej innej wartości nic, ale to nic nie zrobił. Myślał: czy piękno, dla którego żył, czy piękno, które kochał, które było jego domem, jego wszystkim, czy piękno wystarczy? Bardzo by chciał — odkrył, nazwał, wypowiedział to w końcu — żeby wystarczyło. Bo w przeciwnym razie, co się z nim stanie?